NALEŻYTOŚĆ POCZTOWA
OPŁACONA RYCZAŁTEM.

Cena egzempl. 15 gr.

PRAWDA

Prenumerata kwartalna wraz z przesyłką pocztową 2 Zł.

tygodnik poświęcony sprawom politycznym, społecznym, ekonomicznym, literackim, naukowym i informacyjnym.

Wychodzi w każdy piątek o godzinie 10-tej rano. Adres Redakcji i Administracji: Tarnów, ul. Goldhammera 1.

Wszelkie listy i manuskrypta należy przesyłać tylko do Redakcji. Godziny przyjęć od 10 do 12 i od 3 do 5. Telefon Nr. 255.

Rok I. Tarnów, piątek 22 października 1926 r. Nr. 6.

O reformę szkolnictwa.

Polonia Restituta.

Stał asię rzecz wielka, może nawet większa, niż sami to przypuszczamy: w snach śmiałych marzona, z bólem niepewności wyczekiwana, zjawia się z mgły chaosu świetlana zjawa krwawo zrodzonej Polski Niepodległej. Przyjęliśmy ją z bezbrzeżną radością, ale i z pewną dozą niedowierzania. Sądziliśmy, że to radosny jeno wybryk chwili, który wcześniej czy później przyniesie nam szeroko rozlane fale goryczy, — utratę niepodległego bytu. I cóż czynili ci, którzy ją wyczekiwali? Czy może zgodnie i konsekwentnie z psychologją każdego Polaka pisaliśmy nowe „Chorały“ i „Roty“, by móc w przyszłych dniach niewoli wyładować sentymentalnie nasze żale? Nie. — W obawie utraty państwowego gruntu niepodległościowego zasiedli nasi prowodyry, nasi wodzowie, którym w niewinności i nieświadomości ducha, oddaliśmy „kreski“, — wokół wcale obfitego żłobu państwowego i wzdychając lub w chwilach jasnej pogody, śpiewając z werwą mazurki, poczynali sobie zabezpieczać przyszłość. Na sprawy państwowe zupełnie obojętni — odkuwają się.

Marszałek Józef Piłsudski.

Ja zazdroszczę Ameryce Lincolnów, Franklinów, Washingtonów, Colidgów i wielu innych ludzi, do których nasi tak mało są podobni. Lecz mamy jednego Washingtona, któremu na imię Józef Piłsudski. Człowiek ten, miłujący kraj ponad życie własne, który sprawił, że przestaliśmy śpiewać smętne, do niczego nie doprowadzające piosenki, dając nam żywą Polskę, człowiek ten w prostocie ducha wierzy, że sam naprawi to, co cały szereg hyjen psuje. I udowodnił, że przecież jedynym człowiekiem, którego wielbią i który posłuch ma u Narodu — jest On. — Wszystko inne, to tylko pionki na szachownicy Marszałka, wprawną jego ręką poruszane. Lecz złość wrogów Piłsudskiego jest wielka. Z za każdego węgła wyziera cyniczna twarz siepacza, — będącego bądź to na usługach Rosji, bądź to na usługach naszych wewnętrznych wrogów, którzy czyhają na zgubę jedynego człowieka, naprawdę Ojczyznę miłującego. Więc cóż będzie wówczas? Co się z nami stanie? Jedyna chwila, która może nie wróci, to przewrót majowy, wcale niewykorzystany. Boć i przedtem mieli srogi respekt przed twardą dłonią Marszałka. Lecz nam w niniejszym artykule nie chodzi tyle o politykę, ile o zagrożone szkolnictwo. Pobieżnie wykażemy, na czem polega wadliwość dzisiejszej szkoły. Obszerniej pozwoli to sobie może autor w specjalnej broszurze, którą skrycie przewiduje niniejszy artykuł.

Polska eksperymentalna i utopijna.

Po „wybuchu“ Polski analogicznie do ludzi polityki rzucili się ludzie oświeceni ku szkolnictwu naszemu, narzucając mu różne systemy, czy to krajowego, czy zagranicznego wyrobu. Potworzono przenajrozmaitsze typy szkół, wydano nakładem rozmaitych instytucyj mdłą ilość podręczników szkolnych i wszystko to na to, żeby wkońcu wyrażać się z pogardnym lub szydnym uśmiechem o szkole w Polsce Odrodzonej. Rządy, z wyjątkiem rządu Moraczewskiego, mało dla szkoły uczyniły. Nawet metoda Stanisława Grabskiego, którego z lubością czytałem, okazała się w praktycznem zastosowaniu nietylko wadliwą, ale nawet szkodliwą. Przyczyna zła leży głębiej, a dotychczasowi reformatorzy szkolnictwa nie sięgali wzrokiem tak daleko, bo albo są „z urodzenia“ krótkowzroczni, albo wzrok ich wogóle tak daleko nie sięga, czyli nie są stworzeni do przeprowadzenia reformy szkolnictwa. Należy, mojem zdaniem, zdobyć się na gigantyczny wysiłek i zastosować pewien eksperyment, który może uratować nasze szkolnictwo i na lepsze pchnąć je tory. **Należy sięgnąć nie do podręczników (rzecz trzeciorzędna), ale do nauczycielstwa. Tylko nauczyciel w całem znaczeniu tego terminu może i powinien uczyć w szkole, a nie człowiek, liczący na pensję.** Będzie to rzecz trudna do przeprowadzenia, — wiem o tem, — rzecz prawie że utopijna, ale to wcale nie zmienia postaci rzeczy i niemniej należy się do tego gorliwie zabrać.

My Polacy jesteśmy wogóle ludźmi, myślącymi utopijnie, więc jeszcze jedna „utopja“. Myśleć o niepodległości, jako o rzeczy pewnej, która stać się musi, w czasach ciężkiej niewoli trójzaboru, organizować powstania i zamachy stanu, mimo wszystko skazane na zagładę, — jest także utopją. A jednak nic nie przeszkadzało Polakom, — nawet kajdany, X. Pawilon, czy Sybir, — myśleć o Polsce i wierzyć święcie, sakramentalnie niemal w Jej odrodzenie. I powtarzam jeszcze raz: tylko ten eksperyment zdoła szkolnictwo nasze uratować. Trzeba spróbować, albowiem Polska jest państwem eksperymentalnem i utopijnem, a my sami utopistami.

„Nauczyciel“ jako zawód.

Już czas najwyższy zerwać z myślą o dobrobycie materjalnym, płynącym z zawodu nauczyciela. Nauczyciel nie powinien być zawodem, jak to dotychczas jest, ale stanem w rodzaju stanu duchownego (którym niektóre jednostki tak bardzo pogardzają), któryby wymagał pewnego przygotowywania się do tego i wyłącznego poświęcenia się idei wychowania dziecka. Bezbrzeżna miłość chrześcijańska ku temu maleństwu, któremu ma się wpajać szczytne idee i myśli, któremu umysłowi nadaje się dopiero bieg, powinna cechować wychowawcę. Bo że ktoś ma ubogą matkę, ojca, siostrę czy narzeczoną i chcąc im zapewnić utrzymanie, zapisuje się do seminarjum i otrzymuje patent nauczyciela, mówiąc jasno, łatwy zarobek, nie może nas wzruszać. Kosztem pensji nauczycielskiej nie damy im dzieci naszych na żer. Pięć lat trwa fabrykacja pedagoga, który następnie otrzymuje posadę w szkole i na zimno, bez głębszego przekonania, zabiera się do oświecenia dziecka. Chcący zostać nauczycielem, powinien od lat najmłodszych czuć powołanie do tego stanu, tak bliski duchownemu i dopiero po wyegzaminowaniu własnego sumienia i duszy zapisać się do seminarjum lub na wydział filozoficzny.

Nie od rzeczy byłoby, ażeby oprócz zwykłego katechety wykładał także w seminarjach ksiądz o miłości bliźniego i o miłości do dziecka.

Numerus clausus.

Nieodzowną rzeczą jest, specjalnie na wydziale filozoficznym, „Numerus clausus“, lecz nie dla mniejszości narodowych, ale dla wszystkich niepowołanych intruzów, którzy, chcąc koniecznie chodzić w czapce akademickiej, a nie mogąc pójść na inny wydział z powodu właśnie innego rodzaju, niż mój, głupawego i niedojrzałego „Numerus clausus“, — lub inni, w nadziei łatwego zarobku, zapisują się na „filozofję“. I tak mnożą się nauczyciele szkół średnich, którzy tak mało mają wspólnego z powołaniem światłodawcy. Na uniwersytecie stoi wydział filozoficzny otwarty dla wszystkich. Istnieje nawet przekonanie, że najmniej trzeba się uczyć na tym wydziale. I to jest może najkardynalniejszym błędem władz uniwersyteckich, którzy podwoje innych wydziałów, jak wydział medyczny, zamykają dla szerszych warstw, a uprzystępniają dojście do wydziału filozoficznego wszelkiego rodzaju kretynom umysłowym. Stąd rodzą się profesorzy-zboczeńcy, którzy nie stoją na wysokości zadania. Jeśli chcemy podnieść nasze szkolnictwo, zwróćmy przedewszystkiem baczną uwagę na tych, którym powierzamy nasze dzieci.

Nauczyciel ludowy.

Jest rzeczą charakterystyczną i wielce dziwną, do jakiego stopnia my marnujemy nasz kapitał społeczny — dzieci. Szumnie propagujemy oświatę, zmuszamy rodziców do posyłania dzieci do szkół, ażeby je oddać w niewłaściwe ręce. Taką ręką niewłaściwą jest nauczyciel ludowy, mało wykształcony, mało inteligentny, a jeszcze mniej znający psychologję dziecka. W ręce takie oddaje się jeszcze bardzo młodą dziecinę. Nauczyciel ten stara się może i nauczyć dziecko, lecz jakże niefortunnie, jakże niezgrabnie i nieudolnie. I tu zaczyna się źródło złego wychowania naszego społeczeństwa. Winę nie ponosi sam nauczyciel, ale my, ponieważ nie wymagamy od ludowego nauczyciela więcej wykształcenia. W związku z moim projektem o wykształceniu nauczyciela ludowego stoi właśnie typ owego seminarjum, o którym powyżej wzmiankuję i który powinien dać ludowemu nauczycielowi więcej nauki i większej znajomości duszy dziecka, a co najważniejsze, większej znajomości filozofji życiowej. Dopiero, kiedy nauczyciel ludowy będzie stał na takim poziomie, wówczas będziemy mogli oddać w jego ręce dzieci nasze.

Nauczyciel gimnazjalny.

Człowiek wyspecjalizowany w swoim przedmiocie, głęboko myślący, nader uczony, szanujący godność własną, jak i szkoły, uczący z powołania, lubiany przez uczniów (konieczny warunek) i apolityczny, — oto typ nauczyciela gimnazjalnego. Przedewszystkiem musi pokonać nieporozumienie między uczniem a nauczycielem. Nauczyciel powinien być szanowany i wielbiony przez swoich uczniów. Powinien badać (nawet poza szkołą) uczniów i wykrywać ich usposobienia, dążności, światopogląd i ewentualnie skierowywać ich na właściwą drogę. Powinien zaginąć ten strach tradycyjny ucznia przed notesem lub przed przerażającą cyfrą 4 czy 5. Zachęcony miłością nauczyciela uczeń będzie kochał szkołę i łaknął nauki. Dzisiaj uczeń jest wrogiem profesora. Dziwiłem się temu będąc studentem, nie rozumiałem. I obecnie się dziwię, lecz wiem, że winę ponosi sam nauczyciel. A może i nie nauczyciel, lecz jakieś dziwne i nieubłagane fatum, które chce, ażeby człowiek, mający powołanie na ekonoma lub drwala, wychowywał dzieci. Czas nam przejrzeć, bo bardzo źle. Potrzeba nam śmiałego eksperymentatora, któryby to sprawił na polu szkolnictwa, co Józef Piłsudski na polu polityki.

Heca antysemicka.

Kwestja narodowościowa została na zachodzie szczęśliwie rozwiązana jedynie tylko dzięki wysokiej kulturze tamtych narodów. Nasza kultura, któraby mogła niestety iść o lepsze z „kulturą“ azjatyckich ludów, analogicznie do jej „wysokiego“ poziomu zajmuje stanowisko wobec żydów. Zapytany na zachodzie żyd czem jest, odpowiada np.: Niemcem, Francuzem, Włochem i t. p., stosownie do narodowości. U nas przypominają temu żydowi przy lada sposobności, czem jest. Jest to wielka zapora, która uniemożliwia współżycie i która czyni u nas kwestję antysemickiej hecy wciąż aktualną. Zbrodnię popełnia nauczyciel, czyniący różnice między uczniami różnych wyznań. Zdaniem mojem jest kwestja wyznania zbyt błahą i małostkową wobec samej miłości dla kraju rodzinnego i jeszcze większej miłości ku temu pięknemu „zawodowi“. Sam nauczyciel nie zdaje sobie sprawy ze swego stanowiska

społecznego, które przewyższa wszystkie inne (z wyjątkiem poetów i literatów). Nauczyciel-wychowawca, który wychowywał ludzi tak potężnych, jak Wieszczów naszych, Żeromskiego, Reymonta, Sieroszewskiego i wielu innych, jest napewno dumny ze swego stanowiska, najszczytniejszego w narodzie.

Jest rzeczą bezwzględnie niewskazaną, mówiąc z niemiecka: wykluczoną, ażeby w przyszłej, idealnej szkole polskiej zaistniał fakt nietolerancji religijnej. Będzie to — rzecz jasna — sprawą reformatorów szkolnictwa, którzy na nasze wywody zwrócą uwagę i które im będą zapewne służyły.

Dyskusja.

Streściliśmy pobieżnie nasze zapatrywania na szkolnictwo dzisiejsze i przyszłe, nieraz z pogwałceniem myśli własnych, byle tylko wiele miejsca nie zabierać. Dlatego też, chcący zabrać głos w tej kwestji będą w rozterce, nie znają bowiem całości naszych poglądów i stąd wyniknąć może nieporozumienie. Ale bez względu na to każdy głos kulturalny będzie przez nas wysłuchany i z staropolską gościnnością udzielimy mu naszych szpalt, celem wypowiedzenia się w najaktualniejszej kwestji doby obecnej. Otwieramy zatem dyskusję na temat reformy szkolnictwa. Pominęliśmy cały szereg zagadnień, które ujrzą światło dzienne w broszurze, poświęconej szkolnictwu w ogólności, a naszemu w szczególności. — Ale o tem pomówimy w przyszłości, teraz przyjmiemy zarzuty, skierowane przeciw nam. Proszę zabierać głosy.

Izasław Neuberg.

Dola emerytów

Litujemy się nad losem bezrobotnych. Słusznie. A jednak tragiczniejszym jest los emerytów państwowych b. zaborów, oraz wdów i sierót po nich. Bo emerytury ich, czy dary z łaski, nie dosięgają często wysokości zasiłku dla bezrobotnych, nadto zaś, gdy bezrobotni, ludzie w większej części młodzi lub w sile wieku mają uzasadnioną nadzieję, że stan ich bezrobocia jest tylko czasowy i rzeczywiście możność pracy, więc też zarobków wcześniej czy później uzyskają, — to owi emeryci, oraz wdowy po nich są to osoby wyłącznie bardzo wiekowe, niezdolne do pracy i wogóle nie mogące się nawet łudzić nadzieją zarobku.

Że stosunek Państwa Polskiego do tych emerytów jest niewłaściwy, to uznaje całe zdrowo i uczuciowo myślące społeczeństwo. — A jednak tysiące próśb, memorjałów, artykułów dziennikarskich na temat ich doli pozostają bez skutku, mimo, że ze zwiększoną drożyzną położenie tych ludzi staje się coraz straszniejsze. Więc chyba zeszedłszy ze świata, zaniosą skargę przed Tron Najwyższego, że tu we własnej Ojczyźnie, o której zmartwychwstanie przez lata całe się modlili, wśród własnego społeczeństwa, dla którego skutecznie pracowali, nie znaleźli posłuchu i chyba sam Bóg w Swej wielkiej sprawiedliwości da im pociechę i szczęście, jakiego im poskąpił świat w ostatnich latach ich życia.

Dziś, gdy wielka rzesza pracowników państwowych podnosi głos dla wywalczenia lepszego bytu materjalnego, ci najbiedniejsi, najnieszczęśliwsi mają prawo iść w pierwszym szeregu. Wydobywające się z ich schorzałych, starczych piersi wołanie nie zdolne mieć dalekobrzmiącej siły; tę siłę zastąpi głos dalszych szeregów; ale może spadające z tych biedaków strzępy starych szat i łaty czy dziury ich obuwia, wychudłe z nędzy i zmarszczkami starości poorane twarze, — może one przekonają tych, od których to zależy, jak straszną ich dola i jak bardzo potrzebuje poprawy.

Trudno mieć nadzieję, by ten zastęp byłych pracowników państwowych otrzymał obecnie jakieś wydatne plus poborów przed innymi, czynnymi pracownikami. Jednak można przynajmniej żądać, by Państwo od tych zasługujących na litość nędzarzy, szukających łaski u krewnych lub obcych nie ściągało dochodów dla siebie, pogarszając w ten sposób dolę tych ludzi.

Oto przykłady:

Wydano niedawno ustawę z dnia 2-go września 1926 r. poz. 550 Dz. U. o podatku od lokali. Szereg różnych rodzaji podatników jest uwolniony od tego podatku, np. lokatorzy w nowowybudowanych, czy przebudowanych domach (ileż wśród nich jest ludzi majętnych), inwalidzi pobierający rentę inwalidzką, osoby pobierające wsparcie na starość, dozorcy domów. Natomiast emeryci b. zaborów, ich wdowy i sieroty obowiązani są płacić ów podatek od lokali. W budżecie domowym tych osób, nie dochodzącym przeważnie 100 złotych, ten wydatek zaważy poważnie, a przecie dla Państwa, względnie gminy, dla których stan gospodarczy mieszkańców nie powinien być obojętny, dochód taki nie przyniesie chyba takich korzyści, iżby się równoważył ze zubożeniem tych mieszkańców.

Drugi przykład:

Dotąd ściąga się ciągle z emerytów tak zwany podatek emerytalny. Jest to prawnicze curiosum. Wszak podatek emerytalny, jaki płaci pracownik państwowy, jest niczem innem, jak ubezpieczeniem na wypadek przejścia w stan spoczynku. Więc nie trudno zrozumieć, że tak jak przy każdem ubezpieczeniu płacenie rat ubezpieczenia ustać musi z chwilą, gdy dana osoba z ubezpieczenia korzysta, bo wtedy następuje już realizacja ubezpieczenia i cel się spełnił, na jaki składało się raty ubezpieczenia. A ci obecni emeryci specjalnie w b. zaborze austr. płacili podatek emerytalny przez cały ciąg swej czynnej służby państwowej. Państwo Polskie częściowo już korzysta z odnośnego funduszu, częściowo powinno go było już dawno od Austrji wywindykować. Gdzież więc prawna słuszność, by emeryci płacili podatek emerytalny ciągle, nawet wtedy, gdy z emerytury już korzystają?

Więc uwolnienie generalne emerytów b. zaborów oraz wdów i sierot po nich od podatku od lokali lub dopuszczalność zwolnień indywidualnych, oraz uwolnienie wszystkich emerytów od podatku emerytalnego jest koniecznością społeczną. Da się to uskutecznić już teraz, bo Państwo nie musi w ten sposób wydatkować gotówkowo kwot na rzecz emerytów. Jeżeli opusty podatkowe, wywozowe itd. otrzymują wielcy przemysłowcy-miljonerzy, rolnicy, kupcy i t. d. ludzie nie biedni, toć chyba tacy biedacy, jak nimi są emeryci, zwłaszcza b. zaborów, zasługują chyba na opust generalny w całej pełni.

Pospiech co do emerytów jest tem bardziej wskazany, że ich wiek nie pozwala im już czekać aż im coś kiedyś „z oszczędności“ kapnie. Zresztą nawet jeżeli „oszczędności“ mają być warunkiem poprawy bytu tej rzeszy ludzi, to te oszczędności specjalnie odnośnie do sfery emerytów b. zaborów już są i ciągle rosną. Boć przecież ci emeryci z każdym tygodniem wymierają, więc wydatek przewidziany na odnośne emerytury w chwili wydania ustawy emerytalne ciągle i to wydatnie się zmniejsza. Czyż to nie jest oszczędność w budżecie państwowym? Czy w takim razie emeryci z tych oszczędności nie powinni już teraz otrzymać pewnych kwot, jako podwyżkę poborów?

Jeżeli więc emeryci, ich wdowy i sieroty solidaryzują się z żądaniami wielkiej rzeszy pracowników państwowych w przedmiocie podwyżki poborów, to mają w tym względzie bardzo silne materjalne i prawne powody. O tem winny pamiętać sfery miarodajne i ze zamierzoną — oby jak najrychlej — poprawą bytu pracowników państwowych, połączyć też poprawę ciężkiej doli tamtych najnieszczęśliwszych.

Dr Alfred Jendl.

Coś się źle dzieje w nauczycielstwie.

Ważność stanowiska nauczyciela w społeczeństwie znamy i cenimy. Ale trzeba, aby i samo nauczycielstwo siebie ceniło i pamiętało, że jest wychowawcą dziatwy, przyszłości Narodu.

Społeczeństwo odnosi się do nauczycielstwa bardzo przychylnie, o ile nie zawodzi jego zaufania, o czem najlepiej świadczy poprawa bytu nauczycielstwa, oraz dopuszczenie tegoż do korzystania z posad w szkołach średnich. Widocznie jednak powodzenie materjalne zawróciło w głowie niektórym jednostkom i urządzają skandale, nie licujące ze stanowiskiem, jakie zajmują w społeczeństwie.

Powtarzamy, cenimy bardzo pracę nauczycielstwa, które na ogół odpowiada swemu zadaniu. Są jednak jednostki ,które przynoszą ujmę temu stano-

Izasław Neuberg.

Skazany na życie.

(Ciąg dalszy).

— Mistrzu, uczyniłem wszystko, jakoś rozkazał. Masz we mnie dobrego wykonawcę twoich pomysłów. Oczarowałem urodą moją cały szereg kobiet, którym świat obmierzł beze mnie. Mężatka, kapłanka ogniska domowego, odtrąca męża i wyczekuje radosnej chwili ujrzenia mnie. Panny z pierwszorzędnych rodów zamąż nie wychodzą: mego zjawienia się czekają... i te malutkie, urocze dziewczątka z pensyj już o nauce nie myślą... Kazik! Kazik! wołają usta, zwierzęcem pożądaniem zniekształcone... Złamałem życie wielu, wielu kobietom...

Malutkie, szare oczka Stefana zaświeciły się:

— Tak! — wyrzeki powoli — jesteś godnym tworem pióra i ducha mego. Ale mało mam tego, — chcę więcej ofiar. Obdarzyłem cię zmysłem jasnowidzenia, zatem wiesz dokąd ci pójść należy. Wyjedź zagranicę... Tam, gdzie tylko ród żeński istnieje, jest miejsce twoje.... Rozkazuję ci iść tam, gdzie jasne szczęście kobiety, byś je zniszczył, zmiażdżył doszczętnie i nogami stratował...

Mała postać kaleki skurczyła się w gniewie. Zmarszczona twarz przybrała groźny wyraz. Szare oczy, kiedyindziej niewidoczne z poza krzaczastych brwi, zdawały się z orbit wylatywać i gromy ciskać. Chuderlawa postać literata trzęsła się straszliwie:

— Cały ród kobiecy chcę zniszczyć... żeby mi śladu nie pozostało po tem pieskiem nasieniu... zniszczyć, zniszczyć... hi, hi, hi... hi, hi, hi...

Spazmatyczny śmiech owładnął Stefanem. Śmiał się straszliwie... Nagle chwycił go skurcz gardła: począł rękami w powietrzu machać, gonić po małej izdebce i chwytać się to za gardło, to za pierś, wreszcie zakręcił się wokoło i runął, jak długi, na podłogę.

Kazik zląkł się okropnie. Dźwignął Mistrza i ułożył go na tapczanie. Zakrzątał się około swego rodziciela, nie jak syn i twór, ale jak córka, która ubóstwia ojca swego. Po kilku okładach zimnej wody Stefan otworzył nabrzmiałe oczy. Krótki wysiłek i usiadł na improwizowanem łożu. Kazik, patrząc nabożnie w oczy Mistrza, zapytał:

— Cóż ci się stało? Czy genjusz twój nie pokonał jeszcze bolów ludzkich? Czy i ty ulegasz chorobliwym atakom? Więc jednak władza twoja nie sięga tak daleko.

Stefan zbierał powoli siły. Popatrzył już normalnemi oczyma na Kazika i odpowiedział, cedząc wyrazy:

— Ja jestem tylko człowiekiem, może nieco potężniejszym, niż inni moi współplemieńcy, ale pierwiastek człowieka zawsze we mnie bierze górę. Kiedy w bolesnych dniach niepewnego wyczekiwania, w dniach, kiedym ciebie Kaziku mój miał na warsztacie, wówczas pragnąłem tobie dać wszystko ponadludzkie. Widzę, że stało się inaczej. I w tobie, tworze mój, pokutuje duch ludzki: tyś się mną zaopiekował, gdy epilepsja tłukła mną o podłogę, a nie powinieneś był tego uczynić. Bo to skłonność człowieka. Słuchaj Kaziku, mój ty tworze kochany, ja boję się o ciebie.

Stefan szeptał coraz bardziej gorączkowo:

— Kaziku, ty mnie nie zdradzisz... nie ulegniesz żadnej kobiecie... pomścisz mnie... ja tobie życie moje poświęciłem... ty... ty...

— Cóż ci Mistrzu przychodzi do głowy — zawołał Kazik z uśmiechem — wiesz jakim jestem, boś mię stworzył. Ja kobiecie nie ulegnę. Mistrzu, wiesz dlaczego, bo tchnąłeś we mnie ducha ludzkiego, a jednak tak mało do ludzkiego podobny. Nie przecze, iż miłosierdzie jest złą i wadliwą nawyczką schorzałych umysłów i serc ludzkich, ale wytłumacz mi, co ma wspólnego miłosierdzie, okazane swojemu Mistrzowi, któremu zawdzięczam życie, z żywiołową nienawiścią, jaką czuję do kobiet.

Słowa Kazika uspokoiły Stefana. Począł głaskać jego głowę i przyciskać ją do piersi. Po krótkiej chwili drzwi otworzyły się bez szelestu. Stefan rozejrzał się po mieszkaniu: Kazika w izbie nie było — w ręku trzymał książkę...

IV.

W całem mieście wrzało. Opowiadano sobie jakieś dziwy: młody i bosko piękny brunet niepokoił cały świat kobiecy. Znajdował się wszędzie. Widziano go równocześnie w Warszawie i w Paryżu, w Berlinie i w Bombaju, w Krakowie i w Kairze, w Kalkucie i w Leningradzie, w New-Yorku i w Rzymie. Obracał się w pierwszorzędnych towarzystwach, chociaż podawano w wątpliwość jego dobre urodzenie. Czarował zarówno wszystkich: mężczyzn jak i kobiety, które za nim przepadały. Ujmował sobie kobiety nietylko urodą, ale i ogładą towarzyską, dobremi manjerami i niepospolitem wykształceniem. Zadziwiająco odgadywał cudze myśli, stąd chyba płynęło jego przysłowiowe szczęście w grze w karty. Zawistni posądzali go o fałszywą grę i wywoływali kłótnie przy zielonym stoliku, a co za tem idzie, pojedynki, które się kończyły brawurowem zwycięstwem bruneta. Proszony na herbatki, odgadywał myśli na życzenia pięknych gospodyń. Z całą cyniczną powagą i w dobrym tonie wyjawiał tajne uczynki pięknych pań wobec ich mężów.

Seanse takie kończyły się skandalem, kompromitacją i najczęściej separacją małżonków. Co jakiś czas znikał na jeden dzień. Wówczas nie widziano go w żadnem towarzystwie. W związku z tem znikaniem opowiadali złośliwi i zazdrosni salonowcy z uśmiechem politowania, że jest szpiegiem jakiegoś państwa, że co tydzień w pewnym dniu (jednak nikt tego dnia nie wymienił) schadza się z jakimś małym, ułomnym człowiekiem, o odrażającej powierzchowności i jemu doręcza jakieś plany i pieniądze (to te, które wygrywa w karty podejrzaną grą), potrzebne na przygotowanie rewolucji. Ale nic pewne-

wi, wskutek czego zmuszeni jesteśmy, nie wymieniając nazwisk, zająć się temi sprawami, li tylko dla dobra samego nauczycielstwa i społeczeństwa.

Jest pewien nauczyciel, chory na epilepsję, który wskutek tej choroby został zredukowany Otóż schorowany ten człowiek udał się do swego Stowarzyszenia „Ogniska" przy ul. Bandrowskiego o pomoc. Uzyskał ją we formie sińców, ran i plam z zakrzepłej krwi, które jeden z jego krewkich kolegów, przy pomocy stołka mu zadał. A więc ten, który ma wychowywać młodzież, schorowanego, słabego kolegę obdarza ranami. Ładny przykład dla młodzieży. — A fakt ten znany jest wszystkim i z pewnością dotarł już do wiadomości uczniów. Nie dziwić się więc, iż dają się słyszeć głosy narzekania, iż zachowuje się coraz gorzej, wszak: „Jaka mać, taka nać".

Fakt wyżej przytoczony nie jest odosobnionym. Znany jest wypadek, który zdarzył się w jednej z restauracji, gdzie nauczyciel swego kolegę obił, jak również i ten, któremu uległ ceniony i szanowany ogólnie dla swej wiedzy, pracy i ofiarności społecznej człowiek, napadnięty w ordynarny sposób przez nauczyciela.

To są fakta smutne, na przyszłość groźne. Fakta te każą wątpić w skuteczność pracy takich „wychowawców".

Nie lepiej dzieje się wśród nauczycielek. W żadnym stanie niema tyle rozwódek, co wśród nich. Czy stan taki dobrze wpływa na wychowanie dziewcząt im powierzonych, wątpimy. Wszak nauczycielki te wychowują niejednokrotnie już dorastające, a nawet dorosłe panny, już uświadomione, które o niejednej, pikantnej sprawce swej nauczycielki opowiadają sobie na ucho.

W następnych artykułach wrócimy jeszcze do tego tematu.

Jak to nazwać?

Ostatnio ukazała się w „Pracy" notatka o kolosalnej wartości filmów w „Marzeniu", a o niskiej wartości obrazów „Apolla". Smarkacz, który to pisał, wyśmiewa pozatem gramatykę właściciela kina „Apollo", chociaż ani on, ani jego „szef" gramatyki języka polskiego nie znają. Nawołuje „Apollo" do zakupienia tych filmów które „Marzenie" wyświetlało. A przecież ja mógłbym wymienić najpotężniejsze filmy z całej literatury kinowej, które „Apollo" wyświetlało. Filmy potężne, bo taki sąd o nich wydał najlepszy polski znawca kina Karol Irzykowski w swojej „X. Muzie". Ale tu zgoła nie chodzi o filmy, lecz o publiczność, którą trzeba dopiero złapać na muzykę wojskową. — Niema zrozumienia dla kina. Obszernie wytłomaczyłem to w wykładzie moim p. t.: „Teatr a kino" w jednym ze stowarzyszeń tarnowskich. I tak starają się o dobre obrazy i „Marzenie" i „Apollo" i w miarę możliwości wyświetlają takowe. Gdyby społeczeństwo wiedziało do jakiego stopnia kino kształci, — nie chodziliby ludzie tylko podczas deszczu do kina, na które absolutnie nie trzeba żałować pieniędzy. Ale cóż, kiedy bazgracz inkryminowanego artykuliku chce iść do kina na „gapę", musi więc właściciela „Apolla" „smarować". Zresztą (podaję to do wiadomości społeczeństwa) na dwa dni przed ukazaniem się owej notatki, oświadczył piętnastoletni współpracownik Kantora, **że pan Lichtblau będzie się prosił (po ukazaniu się gazety), ażeby personal „Pracy" raczył przyjść do kina, bo go „morowo" wysmarowali.**

Więc jeśli p. Lichtblau daje „Pracy" dwa wolne wstępy, to mało? Jak teraz nazwać takie postępowanie? Ja wstrzymuję się od sądu, ale proszę p. prokuratora, ażeby — jeśli to leży w jego ingerencji — zajął się tą sprawą. Na powyższy zarzut Redakcja dostarczy dowodów.

Most westchnień w Tarnowie.

O miasto błogosławione, ty, co chętnie przytulasz przybyszów i dajesz im opiekę i dobrobyt — bądź pozdrowione. Mieszkańcy twoi godni są zazdrości. Otaczasz ich zbytkiem przy pomocy wszechwładnego Komisarza rządowego, przed którym powinni wszyscy w proch upadać. Nawet idziesz z luksusowemi miastami zachodu o lepsze: budujesz cuda architektury, lub nie odnawiasz starych ze względu na uszanowanie starych zabytków architektonicznych. Takim starym zabytkiem jest żelazny most kolejowy, rzucony nad Krakowską ulicą, słusznie nazwiemy go „mostem westchnień". Bo ilekroć tamtędy przechodzi mieszkaniec owej dzielnicy lub kolonji warsztatów kolejowych, zawsze wzdycha.

Bo za dnia kapie tam błoto z kół wagonowych lub woda, wprawdzie ciemnego koloru, ale cóż to szkodzi. Wodę zesłał Pan Bóg w dobroci swojej, ażeby służyła ludziom na pożytek, a Jemu na chwałę. Ale tego nie rozumieją wszyscy ci małoduszni i nieszczęśliwi, którzy dziwnym jakimś trafem mieszkają za mostem, a nie przy ulicy Mała Strusina.

Jeśli woda (?) nie kapie z mostu, czeka jeszcze śmiałka, zapuszczającego się w ową dzielnicę innego rodzaju przeszkoda: musi cudem jakimś przebyć niezmierzoną przestrzeń bagienną. Ażeby ułatwić podróżnikom przebycie błotnistych pokładów, znajduje się tam poręcz, po której można przebyć zagrożoną przestrzeń. Że ludzie starsi tego nie czynią, to już sama wina sposobu wychowywania naszego społeczeństwa, którego nie uczą od wczesnej młodości sztuczek akrobatycznych.

W nocy natomiast jest tam poetycznie, tak, że nawet powinniśmy żałować, iż się Mickiewicz nie urodził w Tarnowie i nie mieszkał za mostem kolejowym. Jesteśmy pewni, że powstałaby jakaś innego rodzaju, stokroć potężniejsza epopea w miejsce dzisiejszego „Pana Tadeusza", na którego Jan Nepomucen Miller każe patrzeć innemi oczyma. Ale ponieważ mamy jedną parę oczu, musimy więc temi samemi oczyma spoglądać na „Tadeusza" co i dawniej, na złość panu Millerowi.

Z powyższego widać, że most miast Wieszcza mnie natchnął, żebym westchnął, co z całą skrupulatnością i powagą chwili czynię. Wróćmy więc do mostu. W nocy jakieś parki tulą się do siebie i polują na nie-parki lub uczenice ,wychodzące ze seminarjów wieczorem. Że padają tam słowa niedyskretne i sekretne, lubieżne i pobieżne, ordynarne i marne, to nie obchodzi nas, ale powinno obchodzić p. Komisarza rządowego i Dyrekcję koleji państwowej, którzy się powinni zająć naprawą mostu, osuszeniem drogi do „matecznika" i oświetleniem tego raju. Mieszkańcy czekają, my czekamy i wzdychamy.

go, uchwytnego w tych czczych gadaniach nie było. Wiedziano tylko, że jeśli jaka kobieta go zobaczy, nie zdoła się oprzeć jego urodzie i stanie się pastwą jego. Życie takiej nieszczęśliwej jest na wieki złamane: ginie z tęsknoty za kochankiem, który ją opuszcza. Znalazły się nawet takie, które ufne w swą urodę, niewolnika zeń uczynić chciały, lecz wszystko napróżno. Kobiety takie przeceniały się. Smutna rzeczywistość wykazywała inaczej — same dały się usidlić i ponosiły konsekwencję nierozważnego kroku. Brunet był jakąś zjawą świetlaną, jakby nie z świata tego, stojący ponad przeciętnością niedoskonałego tworu — człowieka...

V.

Kazik w lekkich krokach pomknął za piękną nieznajomą. Co za urodziwa dziewczynka... zapewne na małe rendez-vous ze znajomym, co to dawniej wyrabiał zadania szkolne... Ależ nie w złej myśli, broń Boże! — tylko ot tak z nudów... zresztą jak on pięknie prosił i w oczy sentymentalnie zaglądał. On taki spokojny, a co najważniejsze delikatny: kiedy była z nim sam na sam, chciał ją ucałować... już objął ją i ścisnął ją stalowemi ramiony, a ona spojrzała na niego z przestrachem ściganej sarenki i bojaźliwie zaprotestowała:

— Ach, panie, na litość boską nie! nie!... Byłam u spowiedzi i ksiądz zabronił mi się całować z chłopcem, bo to grzech...

Kazik, monologując, omal że nie zgubił z oka swojej nieznajomej, która — wbrew przypuszczeniom Kazika — udała się do kinematografu. Nie myśląc długo, podążył za nią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O honor i cześć kobiety.

W tyg. „Praca", noszącym fikcyjny numer 41, ukazała się w rubryce „To i owo" notatka, zatytułowana: „List z Krynicy", w której to notatce napada autor na bezbronną kobietę, obrzucając ją stekiem wyzwisk i gradem obelżywych słów. Inkryminowana notatka mocno zainteresowała Redakcję, **więc też celowo zbadaliśmy rzecz i teraz, po uzyskaniu wszelakich dowodów, możemy sprawę tę wyjaśnić i zrehabilitować napadniętą.**

Niejaki Marjan Koziorowski, syn tutejszego nauczyciela gimnazjalnego, który do spokojnie sielankowego domu swoich rodziców wniósł ogień niepokoju i niezgody i który jeszcze dziś bierze od swego ojca w skórę za wybryki, — ten to poważny i poważany obywatel księżyca jest duchowym i moralnym autorem tych jadem i czarną żółcią zaprawianych kalumnij, które mogły się tylko ukazać w „Pracy" p. Kantora, znanego na bruku tarnowskim i w prokuraturze pirata dziennikarskiego.

Co zaś do samego autora tych nieartykułowanych słów, musimy Szan. Czytelnikom z rozczarowaniem oświadczyć, że pisał to jakiś oberwaniec, huncwot, jak go powszechnie nazywają, który ponoć stał się „współpracownikiem" wielce świątlego i uczonego rozbójnika dziennikarskiego. A że, jak Francuzi mówią: „qui se ressemble s' assemble", znalazł Kantor takiego, co to pójdzie po linji jego zechceń i będzie szkalował uczciwych ludzi, ale wara mu od bezbronnej kobiety.

Co zaś do pani K., musimy stwierdzić, że jest to osoba nietylko nad wyraz i miła i przystojna, ale i powszechnie lubiana przez swoich sąsiadów, żyjąca w biblijnej zgodzie i w niebywałej harmonji z mężem, a dostała się niewinnie na szpalty „Pracy", dającej posłuch wszelkiego rodzaju łobuzom i awanturnikom.

Sprawa ta znalazłaby swój smutny epilog w sądzie, gdyby nie ojciec brykającego Marjanka, który wpierw — jak sam powiada — wygrzmocił syna i wygarbował mu skórę, naszem zdaniem całkiem zasłużenie, i gdyby nie p. K., która wychodzi z całkiem słusznego założenia, że z młodymi ludźmi, nie odpowiadającymi ani jej, ani za swe czyny, w Sądzie pokazać się nie można. Nawet winę nie ponoszą sami autorowie (znalazło się dwóch ananasów), lecz ojciec Marjana, który nie opiekuje się synem i nie umieszcza go w jakiejś szkole, czy też w jakimś zakładzie poprawczym i wydawca, nakładca, właściciel i redaktor odpowiedzialny i naczelny „poczytnego" tyg. „Praca", który od chłopczyków nieletnich przyjmuje „artykuły".

Wobec powyższego faktu zachodzi obawa, że z czasem nie będzie można ujść plugawym łapom łapserdaków i że pewnej soboty spokojni ludzie ujrzą swe nazwisko zohydzone w „Pracy".

Temu należy zapobiec za wszelką cenę, — to już rzecz oskarżyciela publicznego. Ach, żeby tak można było samego właściciela „Pracy" zamknąć w zakładzie „Publicznych szkodników", jakiby spokój zapanował w tym Tarnowie.

Oddaj dolary.

Chaim Feld, właściciel realności przy ul. Lwowskiej, chcąc wybrnąć z przykrej sprawy karno-sądowej, w jaką wpadł pobierając od Jakóba Mantla kilkaset dolarów amerykańsk. odstępnego za pomieszkanie, a zwrotu której to kwoty zażądał Jakób Mantel drogą sądową, — postanowił prześladować i mścić się w sposób ohydny na dalszych swoich lokatorach, którzy w sprawie owej lichwy mieszkaniowej mają wystąpić w Sądzie jako świadkowie przeciw niemu. W ten sposób pragnie Chaim Feld odstarszyć owych świadków od niekorzystnego dla siebie świadectwa. A najwięcej już ofiarował się Chaim Fehl do spokojnego lokatora Dawida Höniga, którego maltretuje najrozmaitszemi doniesieniami i procesami.

Panie Chaimie Feld! zwracamy uwagę pana, że zmuszanie świadków do składania zeznań niezgodnych z prawdą, — to nowa zbrodnia. Przestań pan wymuszać na świadkach, by obok występku lichwy mieszkaniowej nie odpowiadał pan także przed Sądem za zbrodnię zmuszania świadków do fałszywych zeznań.

Korespondencje z Dębicy.

Arogancki występ konc. adw. Dra Józefa Sady.

Przed Sądem okręgowym cywilnym w Krakowie toczy się sprawa pani S. G. przeciwko panu F. C. o zapłacenie kwoty około 6 tysięcy złotych za dostarczane mu przez przeciąg 6 lat całkowite utrzymanie, pożyczkę na ubrania i obuwie i t. p. W celu przeprowadzenia dowodu, Sąd krakowski przesłał akta tej sarwy Sądowi powiatowemu w Dębicy do przesłuchania zamieszkałych tu świadków. Przy przesłuchaniu owych świadków popisywał się na sali sądowej swoją arogancją i bezczelnością koncypjent adwokacki, czy handlarz realnościami Dr Józef Sado, z kancelarji adwokata Dra Herziga.

Pan ten, który zupełnie niepotrzebnie wtrącał swoje „trzy grosze" do przesłuchania, tak arogancko, wyzywająco i bezczelnie atakował stronę powodową, t. j. panią S. G., mianowicie wywołując na sali

sądowej, iż tą skargą swą żąda zapłaty za to, że pan F. C. „z nią spał". — że na ową nikczemną podłość zdobyć się mógł chyba handlarz dębicki Sado.

To bezczelne atakowanie na sali sądowej kobiety bezbronnej słowami godnemi handlarza realności, czy handlarza nierogacizny, — to podłe świństwo, które publicznie piętnujemy.

Panie Sado! Ty, który swą „poradą prawną" odstraszyłeś klientkę adwokata Dra Herziga panią Kijakównę od nabycia realności, na podstawie otrzymanej od niej dokładnej informacji, **sam** realność tę nabyłeś i takową po dniach 15 odsprzedałeś z zyskiem 1080 dolarów ameryk., — ty, który masz ochotę i oną drugą połowę tej realności, stanowiącą własność pani S. G. nabyć i zarobić także 1080 dol. amer. w ciągu dni 15, — **wara ci od bezbronnej kobiety i ejj czci.** **Bicz.**

Od Redakcji. Ten smutny czyn Dra Józefa Sady podajemy do wiadomości Wydziałowi Izby adwokackiej w Krakowie i żądamy bezwarunkowego pociągnięcia go do odpowiedzialności w drodze dyscyplinarnej.

Ach! te kobietki...

Kiedy złote jabłko z napisem: „dla najpiękniejszej" padło u stóp trzech naprawdę uroczych bogiń, które rozpoczęły spór, może nie tyle o posiadanie tego jabłka, ile o tytuł najpiękniejszej, no to rzecz całkiem zrozumiała, ponieważ złośliwa bogini, podrzucając przedmiot niezgody, nie wymieniła tej najpiękniejszej. Ale ja, pisząc „Płachtę", najwyraźniej oświadczyłem, że owa urocza blondyneczka pani W., którą nawiasem mówiąc nieco rozdrażniłem, jest zdaniem moim najpiękniejszą kobietą Tarnowa. To już rzecz gustu. Ale nie przewidziałem, nieszczęsny, co czynię. Uznać tylko jedną kobietę za najpiękniejszą na całe miasto, które liczy tyle przedstawicielek płci pięknej i właścicielek uroczych główek à la garconne...

Zewsząd poczęto interpelować.

— Mój panie — zagadnęła mnie jakaś brunetka — jeśli pan sądzi, że pani... jest najpiękniejszą kobietą, przed którą (jak pan pisze) nawet nauka kapituluje, to muszę panu z przykrością zakomunikować, że mylisz się pan. Przedewszystkiem ma ona za mały nosek, małe usta (za czerwone), duże oczy...

— Ależ dobrodziejko — przerwałem jej — taż to czyni ją piękną...

— Iii — dąsała się moja czytelniczka — jesteś pan niegrzeczny.

To mówiąc, odeszła, nie podając mi ręki.

Na trybunie Tarnovii siedzę i obserwuję ładną grę Ziemiana, a tu jakiś znajomy woła uradowany:

— Ach! panie... cóżeś mi pan narobił ?Moja żona od rana do nocy gdera i gdera i wciąż to samo. Jej zdaniem nie powinien był autor wesołego dramatu tak pochlebnie się wyrazić o żonie tego fabrykanta... no jak mu tam na imię... Staje, panie drogi, żona przed lustrem i ogląda postać swoją lub czyta waszą „Prawdę". Cztery gazety już z gniewu podarła. I co pan myśli? Musiałem jej kupić piątą.

— No więc jaka ma być moja rola w tej pańskiej komedji — pytam go z uśmiechem.

— Odwołajcie, sprostujcie, róbcie zresztą, co się wam podoba ,ale napiszcie, że i moja żona jest przystojną. Wyrwało mi się pewnego razu, że znam tego pana, co to pisze. A ta nalega, ażebym wpłynął na pana, byś i o niej coś napisał, w przeciwnym razie jestem złym mężem. No, i żeń się przyjacielu...

Pocieszyłem go jak mogłem. Spokój wrócił mu dopiero z chwilą, kiedy padła bramka.

Wreszcie moja przyjaciółka Stacha uważa, że matka dzieci, choćby najlepiej konserwowana, nie może współzawodniczyć z młodą i świeżą dziewczynką, ale ja jestem uparty i na złość wszystkim kobietkom twierdzę to, co powiedziałem i zdania mego nie cofnę. Mógłbym nawet jeszcze dodać, że uroczo wygląda w tańcu i t. d., ale mimo wszystko obawiam się, ażeby mi kobietki zazdrosne oczu nie wydrapały, coby było wielką szkodą dla mnie, gdyż nie mógłbym jej obserwować. Lecz jestem z natury miękkiego serca i na pocieszenie strapionych dodam, że wszystkie czytelniczki „Prawdy" są piękne. No, już dobrze?

Odwołanie.

Odnośnie do artykułu, zamieszczonego w Nrze 5 tygodnika „Prawda" pod tytułem „Zatęchła atmosfera w szkole żeńskiej", — oświadczam, że treść takowego nie jest zgodna z prawdą, wobec czego poczuwam się do obowiązku artykuł ten odwołać i p. Marję O. za wyrządzoną jej tym artykułem krzywdę tą drogą przeprosić. **R. S.**

Od Redakcji. Z wielką radością i zadowoleniem witamy to oświadczenie się osoby, która artykuł ten drukowała, a który my z obowiązku redaktorskiego, lecz bez przekonania, umieściliśmy. Sądzimy, że powyższe odwołanie zrehabilituje tak p. Marję O., znaną i poważaną siłę pedagogiczną, jak i szanowną dyrektorkę p. Bodzoniównę, której szkoła świci przykładem w naszym grodzie. Praca na tem polu jest bardzo niewdzięczna, więc niechaj niesłusznie pokrzywdzone Panie przyjmą od nas słowa zachęty do dalszej pracy, życząc Im równocześnie jak najlepszych wyników i serdeczne „Szczęść Boże"!

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pana M. G. powiadamiamy, że specjalistą od wygrywania spraw w Najwyższym Trybunale Administracyjnym w Warszawie, — jest tutejszy adwokat **Dr Salomon Goldberg**, przy ul. Wałowej 18.

Sprawę swą może mu Pan z całem zaufaniem poruczyć.

Kronika.

Drapieżcy ulicy Krakowskiej. Obok kobiet lekkiego prowadzenia się plagą naszej głównej ulicy jest jeszcze szajka czy też zgraja smarkaczy czy półgłówków, którzy nietylko że zaczepiają przechodzące panienki w sposób ordynarny, ale i płeć mężną, a co gorsza silną. Ostatnio jeden z nich sprowokował słownie jednego z naszych współpracowników, za co ten wniósł skargę do tut. Sądu o publiczną obrazę czci i honoru. Drapieżca ten jest synem właściciela sklepu tyton. Judy Fallmana i praktykantem dentystycznym w zakładzie p. Steiglera. Sądzimy, iż p. S. wydali człowieka, który hańbę i zakałę przynosi jego zakładowi.

CO GRAJĄ W KINACH I TEATRACH.

„Apollo":

„Żydowskie szczęście" w realizacji teatru hebrajskiego „Habimy". — Potężny obraz z życia żydów w 10 aktach według rozgłośnej sztuki Szaloma Mejchema p. t.: „Menachem Mendel". — Ilustracja muzyczna oparta na specjalnie dobranych motywach żydowskich. — Ponadto król komików Büster w 2 aktowej komedji.

„Marzenie":

„Łzy błazna". 8 aktów mistrzowskiej gry największego tragika amerykańskiego Lon Chaney'a i jego partnerki Normy Shearez w przeróbce utworu scenicznego L. Andrejewa p. t.: „Ten, którego biją po twarzy". — Przez wszystkie dni koncert orkiestry wojsk. 16 p. p. — Ceny miejsc od 65 gr. do 2 zł.

„Muza":

W sobotę 23 i w niedzielę 24 b. m. „Biała Niewolnica", sztuka senzacyjna w 4 aktach.

„Sokół" I.:

We czwartek 21, piątek 22, w sobotę 23 b. m.: Wieczory eksperymentalne Gdyczyńskiego, psychotelepaty, czarodzieja, indofakira, magika i brzuchomówcy. Na ciekawy ten seans złożą się: Naukowe eksperymenty telepatyczne z kontaktem, z opornicą, bez kontaktu i na odległość; zagadkowe produkcje iluzjonistyczne, oraz złudzenia optyczne na scenie i wśród publiczności przy pełnem świetle; Pan Twardowski u czarta na kolacji (scena z legendy); Brzuchomówstwo; Człowiek-żywa pochodnia i w. i.

Kącik humorystyczny.

Czarodziej, warjat czy oszust?...

Dzisiejszy redaktor „Pracy", który próbował już szczęścia w wielu zawodach, był i m. in. przed wojną agentem handlowym. Pewnego razu zajechał do małej mieściny, czy też wsi w okolicy Tarnowa i kazał się woźnicy zawieść do karczmy. W karczmie zażądał chleba z masłem. Aliści babuleńka masła nie miała, o czem doniosła dzisiejszemu wydawcy, nakładcy, właścicielowi, redaktorowi odpowiedzialnemu i naczelnemu tyg. „Praca". — Delikatne gardło agenta handlowego nie mogło przełknąć suchego chleba. Wpadł więc na pomysł: stanął pośrodku izby karczemnej, a opierając laskę mocno o podłogę, począł ją obchodzić w prawo wokoło, śpiewnie wykrzykując:

— Niema masła — nie będzie masła.

I tak przez kwadrans. Biedna babina zlękła się okropnie, uciekła z chaty, wołając, że jakiś czarodziej (nieszczęście) nawiedził jej chatę i groził, że masła we wsi nie będzie, że krowy mleka nie dadzą. Zebrało się wówczas sporo gospodarzy, którzy udali się z osełkami masła w rękach, by przebłagać rozgniewanego i niegościnnie przyjętego czarodzieja, pewnie wysłannika samego Lucypera. Na widok tylu świetności uradowało się serce handlarza paciorków i różańców i dał się przebłagać. Oparł laskę mocno o podłogę, począł ją obchodzić wokoło, tym razem w lewo, śpiewnie wykrzykując:

— Jest masło — będzie masło.

Ale już po kilku minutach zabrał dobroczynności i znikł jak kamfora.

Wydaje: Spółka Wydawnicza. Drukarnia J. Pisza pod zarządem St. Starostki w Tarnowie. Redaktor odpowiedzialny Władysław Jaśkiewicz.